Nr. 22. We Lwowie dnia 3. czerwca 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

OGNIWA.

Przez

Elizę Orzeszkową.

Zaledwie śnieg, okrywający dachy i ulice szarzeć zaczął we wczesnym zmroku zimowym, okna dużego i ozdobnego domu zajaśniały rzęsistem światłem. Na ich złotem tle zarysowały się bogate festony firanek, wysmukłe postumenty lamp, grupy roślin i niestałe cienie postaci ludzkich.

Gdy na ulicy ustawał turkot kół, dolatywały z okien tych przez podwójne szyby słabe dźwięki muzyki fortepjanowej. Łatwo było zgadnąć, że ludzie się tam bawią; że, powstawszy od stołu obiadowego, muzyką i rozmowami uprzyjemniają sobie chwile, ulatujące tak szybko...

Przed bramą stało kilka powozów z pięknemi zaprzęgami i stangretami w liberjach, którzy, zwiesiwszy głowy, drzemali lub uderzali się zziębłemi ramionami po plecach i bokach. Ale z bramy wybiegł lokaj we fraku i wydał stangretom rozkaz odjechania do domów. Koła skrzypiały na śniegu, karety, porwane przez spragnione już ruchu konie, sznurem potoczyły się w głąb ulicy, nad którą teraz właśnie, pomiędzy śniegiem szarzejącym a niebem jeszcze błękitnawem, zapalać się poczęły dwa rzędy latarni.

Potem ulica przycichła: czasem tylko jednokonne sanki przelatywały ze słabem dzwonieniem; na białe chodniki padały z okien magazynów nieruchome płachty świateł, w których pojedyńczo lub rojnie przesuwały się profile przechodniów.

Wówczas z bramy oświetlonego domu wyszedł mężczyzna, którego broda siwa wydawała się płatkiem śniegu, położonym mu na piersi. Paltot futrzany z kosztownym kołnierzem szczelnie okrywał postać dość wysoką, z plecami trochę przygarbionemi; brzeg czapki futrzanej dotykał złotej oprawy okularów. Ubranie, ruchy, sam sposób, w jaki naciągał rękawiczki, znamionowały człowieka, należącego do wyższych warstw społecznych. Miał brodę siwą, plecy przygarbione i okulary na oczach, ale z temi oznakami starości nie zgadzał się krok przyśpieszony, jakim szedł po białym chodniku. W tym kroku, jako też w paru gestach, które uczynił, malowało się zniecierpliwienie, coś nakształt chęci zostawienia za sobą jak najdalej domu, który opuścił.

Bo też ilekroć salony jego córki napełniały się gwarem rozmów błyskotliwych, lekkich, pustych, a w apartamencie zięcia rozkładano stoliki kartowe, uczuwał on zawsze niesmak, smutek, nudę i o ile mógł, opuszczał dom ich, będący także jego domem.

Czy postarzawszy stracił serce do świata, albo świat odwrócił się od niego? W obu zarazem przypuszczeniach było wiele prawdy. Dla niego, dziadka wnuków dorosłych, nawet ojcowie i matki rodzin byli młodzieżą. To bardzo dobrze; można przecież kochać młodzież i być przez nią kochanym.

Tylko że on niedobrze już rozumie życie tych pokoleń młodych. Miał niegdyś ideały ukochane, które były mu miarą sądu o ludziach i rzeczach. Do tej miary przyłożeni córka, zięć, wnuki objawiają wzrost nadzwyczaj mały. Nie chce być niesprawiedliwym i odzywa się w nim przywiązanie ojcowskie. Ani córka i zięć, ani wnuczki i wnukowie nie są znowu — plamami atramentu. Mają swoje zalety, wdzięki, zdolności, tylko, że on rzadko może się zgodzić z nimi w czemkolwiek. Inne poglądy i upodobania, inne wspomnienia. Pousypialiby ze znużenia, gdyby zaczął im prawić o tem, co dniem i nocą napełnia jego pamięć. Mieszka przy córce i zięciu w zbytku i blasku, a dnie spycha z życia, jak z pleców wory jałowego żwiru i wlecze się ku końcowi tak prawie powoli, jak teraz idzie chodnikiem ulicy. Bo wyszedłszy z bramy domu pośpiesznym krokiem, teraz zaledwie porusza stopami.

Kiedy przebywa miejsca, na które pada z okien magazynów światło rozpłomienione, u szyji jego połyskuje kołnierz bobrowy, u oczu złota oprawa okularów, w ręku rzeźbiona gałka od laski. Lecz kiedy wchodzi na przestrzenie, pogrążone w półzmroku, nie ma już na sobie połysków żadnych i rozmija się z przechodniami

wyprostowanymi, przygarbiony sam, jak cień z płatkiem śniegu, położonym na piersi i drugim, zwieszającym się z pod czapki, nad karkiem. Lecz miejsca oświetlone stają się coraz rzadszemi, a zanurzone w półzmroku coraz obszerniejszemi. Ruch uliczny słabnie, turkotu kół nie słychać wcale i dzwonki u sanek odzywają się tylko kiedy niekiedy. Nawet latarnie zdają się płonąć słabiej za szkłami mętniejszemi; chodniki też węższe, pustsze, u ścian niższych, za których oknami są wprawdzie światła, ale nieliczne, a niema wcale lamp wysmukłych, waz wspaniałych, ani dźwięków muzycznych.

Jest to dzielnica miasta znacznie uboższa od tej, w której znajduje się wspaniałe mieszkanie jego dzieci i jego. Nie nędza tu jeszcze mieszka, lecz ubóstwo bardzo jej blizkie i jeżeli dostatek, to bardzo skromny. Skromne też sklepiki zastąpiły magazyny z wystawami świetnemi, szyldy jaskrawe migocą w słabem świetle u bram starych i okien niewielkich, niektóre z nich, kołysząc się z powiewem wiatru, skrzypią nad głowami przechodniów.

Kołysze się niekiedy i poskrzypuje deska z tłem ciemnem i wymalowaną na niem tarczą zegara, wielką, białą, podobną do twarzy starej i zapłakanej. Spłowiałe cyfry i wskaźniki wyglądają, jak zmarszczki przez czas wyryte, a kurzawy letnie i deszcze jesienne złożyły na nich mnóstwo czarnych kropek, jakby zaschłych łez.

Wzrok starego pana w futrze bobrowem wypadkiem spotkał się z malowaną twarzą zegara, która w powiewie wiatru zlekka zakołysała się i zaskrzypiała. Było to coś nakształt zaproszenia, wymówionego tonem żałośnym. Zegar na szyldzie! Zegarmistrz! to bardzo dobrze! Właśnie zegarek jego potrzebuje naprawy. Od pewnego czasu opóźnia się wciąż i opóźnia, po parę minut codzień. Sam go już ciągle nastawia, naprawia, posuwa, cofa — nic nie pomaga. A przecież zna się na zegarach wyśmienicie i wszystkie, jakie są w domu, zostają pod jego dozorem wyłącznym i bezpośrednim. Ale dla przyjaciela starego trzeba zawezwać porady lekarza. Wstąpił na parę wschodków, otworzył drzwi sklepiku, lecz gdy zamknął je za sobą, nie zaraz oddalił się od progu; przez minut parę stał, słuchając i patrząc.

Izdebka była mała, nizka, od sufitu do podłogi zapełniona szmerem dziwnym, zgiełkliwym, monotonnym i zarazem niespokojnym, szybkim. Nie był to hałas, tylko szmer, nie wzdymającv się, ani opadający nigdy, lecz ciągle, jednostajnie, bez sekundy przerwy, napełniający izbę od dołu do góry. Nic tu więcej słychać nie było: ani ruchu ulicznego, ani skrzypienia szyldów, ani żadnego dźwięku ze świata żyjących. Nic, tylko od sufitu do podłogi i od ściany do ściany rozmowa czy narada zegarów, wiszących na ścianach i mówiących jeden za drugim wielu głosami suchymi i stukliwymi tak-tak.. tak-to-tak.. tak-to-tak..

A w tym szmerze rozmowy czy narady, zda się wiekuistej, u okna jedynego, przy stoliku, na którym paliła się lampa z długim kominkiem, nad mnóstwem błyszczących kółek, sprężynek, haczyków, siedział człowiek w ubraniu długiem i wyszarzanem, z dwoma płatami śnieżnemi, jednym na piersiach, drugim nad karkiem zgiętym. Była to broda siwa i siwe włosy, wydobywające się z pod jarmułki aksamitnej. W wielkich okularach, z narzędziem delikatnem w ręku, pracował około błyszczących drobiazgów. Czoło miał zmarszczone, wargi odęte i uwagę głękoką w oczach, połyskujących iskrą srebrną z pod brwi siwych i powiek zaczerwienionych. Może ucho jego tak przywykło do stukotliwej rozmowy zegarów i tak się z nią zżyło, że dźwięki inne przebijały się doń z trudnością; nie słyszał wejście człowieka obcego.

W minutę później ze szmeru wytrysnął głos donośny, dźwięczny, dziwnie żywy i świeży, który na całą izbę zawołał: »ku-ku!« i potem już dalej miarowo powtarzał: »ku-ku! ku-ku!« aż za ósmym razem umilkł, a izdebkę napełniła znowu gwarliwa i pomimo miarowości doskonałej śpieszna, niespokojna narada zegarów.

Stary żyd z dwoma płatami śnie.u starości podniósł głowę, wydęte od skupienia wargi jego rozciągnęły się w błogim uśmiechu, spojrzeniem pełnem zadowolenia powiódł dokoła i spotkał się niem z twarzą przybysza, na której także rozlewał się uśmiech. Powstał nieco ze stołka, jarmułki palcami dotknął i zaczął:

— Czego wielmożny pan...

Ale spostrzegłszy futro kosztowne, złotą oprawę okularów, postawę przygarbioną, lecz jeszcze wyniosłą, poprawił się:

— Czego jasny pan żąda?

Ale jasny pan zamiast odpowiedzieć, szedł wprost ku ścianie z szemrzącemi zegarami i stanął przed tym, który wydał był z siebie głos kukułki.

— Zkąd masz ten zegar? Staro wiecki!... cyferblat osobliwy!... Zkąd go masz? Czyj on jest?

Zyda jakby sprężyna podrzuciła z nad stołka, zerwał się i dwoma śpiesznemi krokami stanął obok starego pana, przed szafką hebanową, wysoką; przez otwór jej wyglądało na świat oblicze zegara z kukułką.

— Czyj ten zegar? A czyj ma być? On mój! Jak syn swego ojca, jak przyjaciel jest swego przyjaciela, tak on mój! A jasny pan myślał, że może ten zegar jest u mnie w reperacji? że zaraz kto przyjdzie i jego ztąd zabierze? Aj, aj! Jaby kijem tego, ktoby mnie ten zegar zabrać chciał! żeby mnie kto jego zabierał, to jaby takiego hałasu narobił, że ludzie by zbiegli się przepędzić tego, ktoby mnie ten zegar zabierał... bo on jest mój... (D. c. n.)

„Nasi powieściopisarze“.

Tylko zawodowy pesymista, który zamyka oczy na każdy postęp, dokonujący się w świecie, może narzekać na nasze powieściopisarstwo. Miało ono zawsze świetnych reprezentantów, tak wtedy, kiedy to się jeszcze pisało niemal tylko dla samego zaszczytu pisania, jak i teraz, kiedy literatura jaki taki byt zapewnić może autorowi, a takie trzy gwiazdy najmłodszego naszego powieściopisarstwa jak Sienkiewicz, Prus i Orzeszkowa, pozostałyby pierwszorzędnemi gwiazdami na każdym innym horyzoncie literackim, jak są na polskim.

Zajmującą byłaby historja powieści, tego działu literatury pięknej, który u nas, jak wszędzie zresztą, wchłania w siebie coraz bardziej i coraz bezwzględniej wszystkie działy poezji. Już nie jest epiką tylko, ale bywa też dramatem, liryką, gawędą lub czem kto chce. Zajmującem więc byłoby przedstawić proces tego jej rozwoju, a zarazem uwidocznić łączność, podobieństwa i przeciwieństwa między naszem powieściopisarstwem a najgłówniejszymi prądami i talentami obcych narodów, choćby tylko w bieżącem stuleciu od Walter Scota począwszy aż do Zoli i Bourgeta.

Zanim jednak kto się podejmie tej herkulesowej i przerastającej siły człowieka, pracy, publiczność polska miała prawo domagać się książki, w której miałaby zestawione razem sylwetki najwybitniejszych naszych powieściopisarzy. Spełnienie tej potrzeby wziął na siebie jeden z najpoważniejszych, a najpracowitszy z naszych krytyków, dr. Piotr Chmielowski.

Już przed laty siedmiu mniej więcej wydał on pierwszą serję dzieła swego »Nasi powieściopisarze« (gdzie było między innemi studjum o Sienkiewiczu), teraz pojawiła się serja druga, która, obejmując rozprawy o Józefie Korzeniowskim, Ludwiku Sztyrmerze, Sewerze, Bolesławie Prusie, Klemensie Junoszy, Czernedzie, wraz ze szkicem, zatytułowanym: »Debiuty powieściopisarskie z r. 1895«, dodaje nowych rysów do ogólnego obrazu.

Tom rozpoczynają dwaj »starzy«. Studja o nich noszą wszelkie cechy zupełnie skończonych portretów literackich. Łatwiejszą to rzeczą do osiągnięcia, gdy się pisze o nieżyjących pisarzach. Krytyk, spoglądając na nich z odległości kilkudziesięciu lat, może objąć spokojnem i bezstronnem okiem całokształt ich działalności, a wygłaszając ostateczne wyniki swoich badań, nie potrzebuje się obawiać, aby życie im zaprzeczyło, bo mówią one nie o przyszłości tylko o przeszłości. To też niezwykle wyraziście wychyla się ku czytelnikowi z kart książki postać Józefa Korzeniowskiego, spokojna, trzeźwa w poglądach, zawsze dbająca o pożytek publiczny, a na polu literackiem pozostawiająca ślady wielkie, niezatarte. Ową zaletę wyrazistości może w wyższym jeszcze stopniu posiada portret literacki Ludwika Sztyrmera, autora »Pantofla«, »Dusz w suchotach«, »Frenofagiusza i Frenolestego«, »Kataleptyka« i innych utworów. Mało kto dzisiaj wie, że Sztyrmer umarł niedawno w r. 1886, bo z rokiem 1860, kiedy umilkł jako powieściopisarz, dziwnie i niesłusznie o nim zapomniano, choć to był talent wybitny, pisarz zajmujący odrębne stanowisko w naszej literaturze, jak go Chmielowski nazywa »twórca powieści psychologicznych« u nas. W studjum o Sztyrmerze, opartem na niezwykłej wartości materjałach rękopiśmiennych, odżywa zarazem niejeden rys ciekawy ówczesnego społeczeństwa polskiego, pada ciekawe światło »na tak mało znane nam życie wewnętrzne szkół wojskowych w Królestwie przed r. 1830«, w których Sztyrmer się kształcił.

Te dwa studja należą do historycznej niejako części książki Chmielowskiego, reszta nosi cechę publicystyczną, traktuje bowiem o autorach, którzy (prócz Czernedy) żyją, piszą, działają wśród nas, których fizjonomji literackiej zatem ściśle określić jeszcze nie można.

Owoż szereg sylwetek, które dla powyższych powodów w oczach czytelnika posiadają kalejdoskopową barwność, rozpoczyna portret literacki Ignacego Maciejowskiego, który jako »Sewer« wśród autorów współczesnych wybitne zajął stanowisko. Swoją drogą rozgłosu długo i z trudem musiał się on dobijać, czego jeden z głównych powodów Chmielowski słusznie widzi w tem, że Sewer »od początku zawodu swego okazywał zawsze jawnie swe przekonania postępowo-demokratyczne, co w Galicji, gdzie przebywa, za dobrą rekomendację nie służy, gdyż przemaga tam stronnictwo zachowawcze, rozdające do woli dyplomy wielkości«. Chmielowski przedstawia nam tego pełnego jędrnego zacięcia i humoru autora w trzech fazach jego twórczości: »egzotycznej, ludowej i społecznej«. Pierwsza powstała pod wpływem pobytu Maciejowskiego w Anglji i rozpoczęła się głośnemi »Szkicami z Anglji« obok których najwybitniejszem dziełem tej fazy jest nagrodzona na konkursie w r. 1876 komedja »Pojedynek szlachetnych«.

Ale najpiękniejsze dzieła swe stworzył Sewer, przerzuciwszy się z terenu angielskiego na grunt swojski, wejrzawszy okiem artysty pod strzechy wieśniacze. Tak powstała druga faza jego twórczości, »ludowa«. Powieści, nowel, opowiadań ludowych mamy dziś dosyć i to dobrych, ale kiedy Sewer z niemi występował, należał do pionierów tego kierunku. »Sewer i Prus — pisze Chmielowski — byli u nas pierwszymi powieściopisarzami, co odtworzyli duszę chłopa i stosunki jego zewnętrzne wśród nowych warunków, jakie wytworzyło uwłaszczenie. Obaj równie szczerze i z jednaką miłością na lud patrzyli, lubo bynaj-

mniej nie zamierzali zakrywać wad jego i śmieszności. Obaj posługiwali się środkami realistycznymi, ale obaj rozjaśniali obrazy swoje promieniami poezji. U Prusa poezja płynęła przeważnie z głębokiego, serdecznego uczucia, u Sewera przeważnie z fantazji«. »Łusia Burłak« i »Wiosna«, »Zalotnica« i »Dola«, »Kasia« i »Hanka«, ujęte pod wspólny tytuł »Dla świętej ziemi« i w. i., tworzą szereg w przeróżne tony uderzających, a odznaczających się wielkiem skończeniem artystycznem utworów, aż do »Przybłędów«, które są obrazem życia wiejskiego na skalę szeroką, w którym, wedle słów Chmielowskiego, »umiejętność ześrodkowania wszystkich użytych efektów wywołuje doskonałość utworu pod względem kompozycji«.

W trzecim dziale utworów Sewera, wśród tak nazwanych przez Chmielowskiego »społecznych« nowel i powieści jego, wysuwają się na czoło jedna z pierwszych tego rodzaju, drukowany jeszcze przed dziesięciu laty »Zyzma«, stanowiący wycieczkę w świat kwestji żydowskiej i ostatnia »Nafta«, trzytomowa powieść, której ukazaniu się towarzyszył niemały rozgłos, a która wziąwszy sobie za tło rozwijający się w Galicji przemysł naftowy, kreśli na niem dzieje moralnego odrodzenia się »dziecka salonów«, «wychowańca czasów najnowszych, kultury wyrafinowanej z podrażnionemi nerwami«.

W tych wszystkich fazach to jest wspólnego, że talent Sewera »dzielny, prawdziwie męski« umiał zachować pogodę ducha. »Tym sposobem — kończy Chmielowski — stanowi on kontrast dodatni względem tych kraczących pesymistów, których — jak na nasze potrzeby — trochę jest za dużo«.

Kulminacyjnym punktem książki Chmielowskiego, zwłaszcza części, która się odnosi do autorów ostatniego pokolenia, jest studjum o Aleksandrze Głowackim, którego właściwe nazwisko zapomniane niemal zostało wobec jego głośnego pseudonimu literackiego »Bolesława Prusa«. Autor ten, który obecnie wyrósł wysoko ponad głowy współzawodników, nietylko pod literackim, ale i pod psychologicznym względem stanowi nadzwyczaj ciekawe i świetne zjawisko. Łączą się w nim harmonijnie dwa potężne a na pozór niezgodne ze sobą pierwiastki, t. j. wybujała fantazja i skłonność do matematycznej niemal ścisłości. »Jakie takie zharmonizowanie tych dwu potęg — pisze Chmielowski — jest rzeczą niełatwą i dlatego rozwój twórczości umysłów, w których one władają, bywa powolnym i odznacza się niejednokrotnie wielkiemi niespodziankami«, ale kiedy się stopią w jeden kruszec, życie odlewa z nich tak wspaniałe posągi, jak Bolesław Prus! Pojawieniu się jego utworów nie towarzyszyły fanfary mistrzowskiej w reklamowaniu »swoich« konserwatywnej prasy, która najczęściej milczała o Prusie, jako o postępowcu, co wyprzedzał niejednokrotnie swemi przekonaniami cały polski świat literacki. Nie wygłaszano o nim odczytów, nie urządzano »żywych obrazów« z jego powieści, to też fakt, że podbił on sobie całą publiczność, jest tem świetniejszym tryumfem jego talentu.

Ciekawemi były drogi jego talentu, jak ciekawemi drogi życia Prusa, a raczej jego duchowego rozwoju. Jeszcze w Lublinie, studentem będąc, marzył o karjerze matematyczno-przyrodniczej, składając równocześnie hałaśliwą wesołością bezwiedną daninę drugiemu żywiołowi swego usposobienia: fantazji. Przybywszy do Warszawy, na uniwersytet, był nader gorliwym słuchaczem wydziału matematyczno-fizycznego w »Szkole Głównej«, marząc zaś o karjerze inżyniera, postanowił przygotować się ku temu gruntownie, od podstaw, wstąpił zatem do fabryki Lilpopa i Raua, jako prosty robotnik. I tak to wykształcił się na — literata! W talencie Prusa, w jego humorze spostrzegano oddawna wybitne cechy »niezwykłości«, które on sam w ten sposób tłómaczy: »Naszą bieżącą i powieściową literaturę od dawien dawna produkowali: poeci, historycy, muzycy, estetycy, filologowie i t. d. Gdy więc w tem gronie znalazł się człowiek z ukształceniem zupełnie innego rodzaju, z konieczności musiał wypowiedzieć wiele niesłyszanych dotychczas poglądów, wiele niespodzianek«. To prawda, ale też największą i najprzyjemniejszą niespodzianką w naszej literaturze był talent taki jak Prusa, który zacząwszy od suchych statystycznych artykułów i dowcipkujących kronik, stworzył odrębny, sobie właściwy humor, któremu Chmielowski wiele uwagi poświęca — i dał nam takie »mistrzowskie« nowele (wyrażenie Chmielowskiego) jak »Przygoda Stasia«, »Antek« i mnóstwo innych i powieści, jak n. p. »Anielka«, »Placówka« i wreszcie ostatnie dwie olbrzymie kreacje: »Lalka« i »Emancypantki«.

Studjum Chmielowskiego o Prusie nie jest rzeczą jednolitą, powstawało i drukowało się niemal w tempie pojawiania się wybitnych jego utworów i później tylko te luźne cząstki połączyły się w całość. To też czuć w całym szkicu, jak z każdą nową książką Prusa rósł zapał dlań Chmielowskiego, aż doprowadził go do entuzjastycznego wykrzyknika, którym kończy to studjum: »Zapewne, nie wszedł Prus jeszcze na szczyt najwyższy, ale któż go wstrzyma? Niech dąży coraz wyżej i coraz szybciej!«

Mamy w »Naszych powieściopisarzach« jeszcze trzecią obszerną sylwetkę jednego z współczesnych autorów polskich, mianowicie Klemensa Junoszy (Szaniawskiego), którego nazwisko wspomnieć się musi koniecznie, jeśli się mówi o postaciach żydów w naszej literaturze. Junosza, który od dwudziestu lat pracuje na niwie literackiej, jest przedewszystkiem malarzem szarego, pełnego drobnych, uciążliwych niedoli, codziennego życia. Od pesymizmu, od zniechęcenia w tej wędrówce po jednostajnych wertepach po-

wszedniości ratuje go humor, opromieniający wszystkie niemal jego utwory, a dowcip jego, jak pisze Chmielowski, »ma przedewszystkiem charakter staropolskiej jowialności«. Obserwując przedewszystkiem cechy zewnętrzne, odznaczające ludzi, Junosza zna najlepiej wszystkich, co się od ogółu wykształcongo najbardziej przez owe cechy odróżniają, a więc żydów, których poznał i poznać starał się tak, że przestudjował, a po części tłumaczył żargonową literaturę, dalej chłopów, których kreśli może niegorzej, chociaż inaczej, niż Prus, Dygasiński, lub Sewer, wreszcie wszelkiego rodzaju oryginałów, a chociaż przytem nieraz dotknie bardzo dotkliwych ran serdecznych, »nie posługuje się namiętnem i jednostronnem wpatrywaniem się w bolesne rany społeczne«, wedle słów Chmielowskiego, »nie poczucie bowiem tragiczności, lecz komizmu leży na dnie talentu Junoszy«.

Szereg »Naszych powieściopisarzy« zamyka kruciuchna sylwetka małoznanego, bo wcześnie zmarłego autora Czernedy (Bieżyńskiego), który nie zdołał był zająć wybitnego stanowiska w literaturze. Postawienie go obok autorów pierwszorzędnych psuje nieco perspektywę literacką książki Chmielowskiego, lecz pamiętać trzeba, że nie jest ona jednolitą historją powieści, lecz zbiorem rozpraw w różnych czasach drukowanych. Epilog stanowi artykuł p. t. »Debiuty powieściopisarskie w r. 1885.«, gdzie znajdujemy krótką, przeważnie ostrą, charakterystykę autorów i autorek, którzy przed dziesięciu laty wstąpili w szranki, a więc Kościałkowskiej, Zapolskiej, Obertyńskiej, Trzcińskiej, Zagórskiego, Rapackiego i Wołowskiego.

»Nasi powieściopisarze« mogliby dać materjał do wielu ciekawych uogólnień o bieżącej naszej literaturze, poprzestaniemy na tem, co się samo nasuwa. Chociaż dzieło Chmielowskiego nie objęło jeszcze wszystkich autorów, którzy na to zasługują, szereg owych sylwetek, pozwalając jednem spojrzeniem niejako, objąć znaczniejszy obszar naszego powieściopisarstwa, daje wyraźnie poznać, iż nie jest ono ubogiem ani w pierwszorzędne talenta, ani w oryginalność. Tymczasem zarzut przeciw oryginalności polskich autorów odezwał się niedawno ze strony młodych, nawet bardzo młodych *sit venia verbo* krytyków, którzy zapatrzywszy się na tryumfy w Europie skandynawskich pisarzy lub symbolistów belgijskich wraz z ich naśladowcami, radziby w owych szeregach widzieć i naszych autorów. Zapominają jednak oni, że nie każda ekscentryczność jest oryginalnością, a już w żaden sposób naśladowanie obcych ekscentryczności. Autorowie nasi, przynajmniej najwybitniejsi, zawsze są sobą, zawsze naturalni, niewymuszeni. To jest właśnie ich oryginalność, dla tego są oni bardziej realistami niż nawet sam Zola, a bardziej poetami niż Maeterlinck z całą plejadą. Jeśli się owym młodym tak bardzo niepodoba małe zajęcie się nami w Europie, niechaj pamiętają, że największą tu winę ponosi nasze położenie polityczne, a zresztą jeśli Europa wytrzeźwieje z rozmaitych nerwowych manji literackich, może w jej zainteresowaniu się przyjdzie na naszych autorów kolej, a kto wie, czy już nie przychodzi!...

V. NOVAK.

MIŁOŚĆ BAZYLEGO.

Z chorwackiego przełożył

Leon Wasilewski.

(Ciąg dalszy.)

Zamyśliłem się na chwilę, ale nic nie mogłem wymyślić.

— Powiedz mi, kiedyż się to stało?

— Łuszczyliśmy przeszłej zimy kukurydzę; matka zaprosiła też Marka, a sama poczęła opowiadać bajki. Śpiewaliśmy, prawiliśmy baśnie, zadawaliśmy zagadki aż do późnej nocy, a gdy Marko zapalił fajkę, rzecze mu matka:

— Porzuć, Marko, fajkę, nie dobrze to dla twych piersi!

Początki choroby miał on od owego jeszcze czasu, gdy go przez dwa miesiące musztrowano na mrozie, a i ojciec jego chorował na piersi i z tego umarł.

— E, matko! — udawał zucha Marko — inne już teraz piersi, odkąd mi zrzucono z pleców tornister.

Śpiewaliśmy dalej, gdy naraz krew pokazała się Markowi na ustach. Położono go do łóżka, pojono mlekiem, okładano piersi śniegiem. Zostawał przez całą noc u nas, bo go nie chciano wypuścić na mróz, a ja usiadłam przy nim, aby uważać, czy mu nie pogorszy się w nocy.

Długo w noc siedziałam przy lampce, patrzałam na śpiącego i dumałam. Wspominałam, jak mię pocałował w czoło, gdy go zabrano do wojska. Byłam wówczas jeszcze dzieckiem, a on, już mężczyzna, ściskał mię za rękę i przynosił z miasta wszystko, czem się zwyczajnie obdarowuje dzieci. A gdy powrócił ze szpitala wojskowego, spotkał mię pewnego razu i uściskał, mówiąc:

— Sierotko moja!...

Zdaje mi się, żem widziała wówczas łzę w jego oku, ale odwrócił się nagle i poszedł w swoją drogę. Patrząc teraz na niego wybladłego i przypominając to wszystko, poczułam jakiś smutek na sercu, a oczy zaszły mi łzami. Pomyślałam sobie:

— Taki młody i dobry, a musi umrzeć.

W tem ocknął się. Otworzył oczy i spojrzał na mnie.

— Luco!

— Co, Marko?

— Czyśmy tu sami?

— Samiśmy.

— Chodź tu!

Zbliżyłam się ku łóżku.

— Usiądź koło mnie.

Gdym i to uczyniła, wyciągnał ku mnie rękę. Podałam mu swoją; on ją podniósł do ust i pocałował.

— Luco, — rzekł, — jesteś już dorosłą mogę więc ci powiedzieć, com oddawna zamyślił.

— Nie mów dużo, to ci zaszkodzi.

— Pozwól! Mogę mówić. Gdy byłaś jeszcze małą dziewczynką, już lubiłem cię więcej, niż wszystkie dziewczęta. Rosłaś i dorosłaś, a serce moje pokochało cię goręcej i błagałem Matki Bożej, aby mi jedynie dla tego wróciła zdrowie. Już myślałem, że mię wysłuchała, już zamierzałem swatać cię, gdy oto wczoraj... Przeklęta choroba! Jestem tak słaby, że nie wiem, czy dnia doczekam, ale pierwej, nim skończę, chciałem ci to powiedzieć. Czyż ty, Luco, — ciągnął dalej tak boleśnie, żem nie mogła go słuchać — czyż ty nigdy nie będziesz moją?...

Zaszumiało mi w mózgu, zakręciły się łzy, schyliłam głowę ku jego twarzy i szeptałam, niby w malignie:

— Twoja jestem, Marko, twoja!...

Wkrótce i dzień zaświtał. Marko wzmógł się na siłach, powstał z łóżka, a ja obiecałam, że będę jego żoną.

Oto, Bazyli, Marko chory, ledwo dysze, ale wziął mi serce i póki żyję, nie będę niczyją, tylko jego!

To powiedziawszy, oddaliła się.

Od dnia owego smutek przygniótł mi serce. Nie obchodził mnie dom, ani wymówki ojca i matki. Odchodziłem od rozumu.

Tylko w nocy, przy świetle księżyca, powracało mi życie, ale nie to życie pomiędzy ludźmi. Słyszałem jeszcze w dzieciństwie opowiadania, że na szczycie Velebitu* mieszkają v i l e, prześliczne kobiety, a kto się pomiędzy nie dostanie, to go albo zabiją, albo przyjmą za brata. Otóż marzyłem, żem przybył do nich, że i Luca moja znajduje się między niemi, że się bratamy i kochamy, szczęśliwi, zdala od świata Łzy płynęły mi z oczu, wstawałem, kładłem się na posłanie, wzdychałem, płakałem i przywoływałem Lucę przez noc całą. Tak dzisiaj, jak nazajutrz, aż ojciec i matka poczęli zwracać na mnie więcej uwagi.

— Synu! — mówi mi pewnego dnia matka — urzeczono cię, uczyniono ci coś, boś całkiem zmienił się na duszy i na ciele. Nie słychać od ciebie ani śmiechu, ani rozmowy, chudniesz na twarzy, a zgubisz i duszę, jeśli nic zaradzisz czemś przeciw urokom. Co ci się stało, mój synu?

Zapłakała w końcu. Wzruszyło mię to, więc położyłem głowę na jej ramieniu.

— Matko! Nie są to ani czary, ani uroki, tylko boli mię serce, a lekarstwa na to niema.

— Niema lekarstwa dla jedynaka Serticzów?! — krzyknie matka, a była to kobieta dumna — Którażby nie poszła za ciebie?

— Wszystkieby poszły, tylko nie ona...

- Któraż to synu?

— Luca...

— Ta żebraczka! — oburzyła się matka. — Zdechłaby tej zimy z głodu, gdybyśmy jej nie dopomogli.

— Ale nie chce mnie, matko!

— Któżby ją wpuścił do domu Serticza¿ Wszyscyby plwali na mnie! Patrzcie-no, jaka indyczka! Już od trzech lat oczekuję na owe dziesięć skudów, które byłam pożyczyła jej matce. Teraz zobaczymy, kto jest gospodarzem! Albo niech mi je zwróci, lub wyrzucę ją z chaty.

— Nie trzeba, matko, nie trzeba, dla Boga! Jeśli to uczynicie, zgubicie mię na wieki!

Odtąd jeszcze bardziej począłem stronić od ludzi. Mówiono, żem zwarjował, a ojciec mój włożył pierścionek na palec Mary Żuniczówny, która jest obecnie moją żoną.

— I zgodziłeś się? — zdziwił się pleban.

— Nie odrazu, gdzie tam! Pamięć i serce mówiły: Luca! a Luca należy do Marka.

Marko poprawił się, ale widać było, że choroba owładnęła nim całkowicie.

Luca, jako dziewczyna rozsądna, nigdy mu nie napomykała, że myślę o niej. Ja też nikomu nie mówiłem, a moi gotowi byliby pod ziemię się skryć ze wstydu, gdyby dowiedziano się, że Luca odbiła im syna. Z tego powodu najrozmaitsze domysły krążyły po wsi, ale nikt nie wiedział, że przyczyną mego nieszczęścia była Luca.

Był wieczór. Spadł śnieg, przycisnął mróz, wszystko pozamykało się po chatach. Błąkałem się, jak zwykle, po polu; z zewnątrz ściskał mię mróz, a wewnątrz paliło się, jakgdyby i w głowie i sercu był jeden ogień. W domu myślano, żem był gdzieś na wieczornicy. Niebo było pochmurne, miesiąc się ukrył. Nigdzie ani duszy, więc mogłem niepostrzeżenie podkraść się ku chacie Lucy. Zbliżyłem sie do płotu i czekam — a na co czekam? sam nie wiem. Długo stałem tak, aż naraz skrzypnęły drzwi chaty, a w nich pokazał się Marko, a za nim Luca. Owinęło mi się coś około serca, rzekłbyś żmija, i gryzie i gryzie: Marko! A ty Bazyli?!

Z rozmowy ich zrozumiałem, że Marko pojedzie o świcie po drwa do lasu.

— Luco! Luco! — wydobyło mi się z piersi westchnienie. — Tyś jego! A ja? Czyż mam żyć bez ciebie? żyć, widząc cię w jego ręku? Muszę płakać po nocach, wówczas, gdy wy się miłujecie; jestem jak żebrak odrapaniec, któremu rzu-

* Góra w Lice.

cono okrawek chleba, jak mnie Marę Żuniczównę. Czyż ludzie mają śmiać się ze mnie i wzkazywać palcami, krzycząc: Oszalał Bazyli?!...

— Nie!... Opanowała mię myśl grzeszna: on pójdzie o świcie po drwa... las ślepy i głuchy, nie widzi i nie słyszy. Wilk nawet nie zawyje: »Bazyli zabił Marka!...«

— Wy, Bazyli! — krzyknął pleban.

— Owładnęła mną myśl ta zupełnie, poszedłem więc przed świtem do lasu, z siekierą na ramieniu. Zaledwie północ minęła. Niebo rozpogodziło się, gdzie niegdzie migają gwiazdy, a mróz taki, że ledwo uszy nie odpadną. Księżyc świeci nad siołem. Pod nogami skrzypi śnieg, ręce drżą, a wewnątrz gore, krew wre, uderzyła do mózgu, dzwoni w uszach — pociemniało mi w oczach...

Nigdzie ani żywej duszy. Coś goni za mną: Prędzej, Bazyli, prędzej!... Przyszedłem do lasu, usiadłem w śniegu i pogrążyłem się w takie myśli, od których niech Bóg zachowa wszystkich chrześcjan.

Dok. n.

Z DZIEJÓW OŚWIATY LUDOWEJ w Anglji.

(Ciąg dalszy).

W pięć lat po liście Sewell'a z Oksfordu podnosi głos Lord Hervey (obecnie biskup), z Cambridge, podając już projekt ustanowienia wędrownych profesorów i stawia inne praktyczne wnioski, które, jak ujrzymy niżej, później w znacznej mierze zostały urzeczywistnione. Uniwersytet w Cambridge ma — wedle tego projektu — mianować 4 profesorów wędrownych czyli wiejskich, do wykładu historji naturalnej, geologji, astronomji i literatury. Kurs składa się mniej więcej z 6-ciu lekcji. Każdy profesor winien mieć 120 lekcji rocznie, t. j. po 6 lekcji (1 kurs) w każdem z 20-tu miast. W ten sposób czterej profesorowie zwiedzą w ciągu roku 80 miast. Gdyby tyluż profesorów mianowały i inne uniwersytety oraz niezależne kolegja Anglji, Szkocji i Irlandji, pisze lord Hervey, wówczas kraj zostałby łatwo pokryty siecią takich zorganizowanych kursów uniwersyteckich. Projekt ten i jemu podobne nie dały się jednak wprowadzić w życie w szóstym lat dziesiątku bieżącego stulecia wobec stosunkowo słabego jeszcze i niedostatecznego rozwoju sieci kolei żelaznych, umożliwiających obecnie te właśnie ciągłe rozjazdy owych wędrownych profesorów, o których w r. 1855 marzył lord Hervey.

Dopiero w r. 1817 za inicjatywą profesora Stuarta, którego uważają w Wielkiej Brytanji za ojca tego nowego systemu oświaty, uczyniono poważny krok naprzód. W r. 1867 pewne stowarzyszenie kobiece w północnej Anglji zaprosiło prof. Stuarta na kilka odczytów. Zamiast kilku odczytów prof. Stuart ze swej strony zaproponował kurs złożony z ośmiu wykładów i dotyczący jednej gałęzi wiedzy, który powtórzył w tymże roku w Leeds, Liverpool'u, Manchester i Sheffield wobec licznych słuchaczy, ale wyłącznie kobiet. Jak widzimy, początki swe zawdzięcza *university extension* kobietom. I dotychczas wciąż jeszcze kobiety stanowią znaczny procent słuchaczów. Pierwsze te kursa prof. Stuarta zasługują jednak na uwagę nietylko z tego względu, że były, praktycznie rzecz biorąc, początkiem nowego systemu nauczania, ale i dlatego, że ich twórca odrazu wprowadził w życie dwa zasadnicze rysy tego systemu, mianowicie: krótkie streszczenie kursu na piśmie oraz tygodniowe wypracowania słuchaczów.

Praktyczny i powiemy nawet handlowy duch narodu angielskiego poddał zaraz twórcom i prozelitom nowego ruchu, gdy podniesiono myśl rozwinięcia akcji na szerszą skalę, projekt utworzenia przedsiębiorstwa akcyjnego lub udziałowego, jakiejś kompanji zarejestrowanej z poręką ograniczoną. *(University extension Company, Limited).* Tak przynajmniej zrazu rzecz tę widział prof. Stuart. Na razie jednak projekt okazał się, przynajmniej w tej postaci, przedwczesnym. Tymczasem atoli podobne kursa zaczęły powstawać w różnych i licznych miejscowościach Anglji i już w r. 1871 daje się czuć potrzeba pewnej centralnej organizacji. W swym liście otwartym do uniwersytetu w Cambridge prof. Stuart żąda, aby całą akcyę ujęły w ręce uniwersytety. List ten nie pozostał bez skutku. W r. 1872 uniwersytet w Cambridge wyznaczył komisję do zbadania tych żądań, a w roku następnym taż komisja podała wniosek urządzenia przez Uniwersytet, sposobem próby, kursów wedle projektu prof. Stuarta pod warunkiem, iż władze lokalne dostarczą potrzebnych funduszów. Była to wielkiej doniosłości urzędowa niejako aprobata całego ruchu.

Należytemu jego rozrostowi stawały teraz na przeszkodzie głównie względy natury materjalnej, gdyż od samego początku wykłady profesorów były opłacane z funduszów, które zbierano za bilety wstępu. Jak widzimy, rzeczy nie budowano na filantropji, co tem wymowniej świadczy o istotnej potrzebie podobnych kursów. W r. 1876 powstaje w Londynie stowarzyszenie specjalnie temu celowi poświęcone, a w jego biurze wykonawczem zasiadają już delegaci trzech uniwersytetów: w Londynie, Cambridge i Oxford. Ten ostatni wprawdzie później przyłączył się do ruchu, aniżeli uniwersytet w Cambridge, gdyż dopiero w r. 1878, ale za to w początkach urządzał kursa na swe własne ryzyko, a przytem za niższą opłatą. Oxfordzkiemu też

uniwersytetowi zawdzięcza cały system dwa nowe nabytki: wędrowne czytelnie, dostarczające słuchaczom podręczników, niezbędnych dla uzupełnienia wykładów profesora i letnie mityngi, t. j. zjazdy słuchaczów w murach uniwersytetu, w Oxford lub Cambridge. O zjazdach tych pomówimy niżej nieco

Wskazawszy pokrótce, jak powstał i rozwinął się ów osobliwy system oświaty ludowej, zatrzymać się należy na opisie stanu jego obecnego. Zaczniemy nasz przegląd od opisu założenia i funkcjonowania jakiegokolwiek typowego »centru« *University extension.* Zawdzięcza on swe powstanie zazwyczaj jakiej jednostce energicznej, bardzo często kobiecie, która, przyjrzawszy się takiej pracy gdzieindziej, pragnie stworzyć coś podobnego w swojem miasteczku. Zainteresowawszy grono osób, w tej liczbie burmistrza, wziąwszy na siebie całe brzemię prac przedwstępnych, nareszcie inicjator zdoła zwołać mityng, zaszczycony obecnością przedstawiciela jednego z uniwersytetów. Mityng uchwala rezolucje, obiera komitet wykonawczy i — rzecz najtrudniejsza, zbiera podpisy gwarantów, t. j. osób, które przyjmują na siebie odpowiedzialność ewentualnego pokrycia niedoboru w kasie. Następnie komitet wykonawczy układa listę przedmiotów wykładu — na początek jeden przedmiot i zaprasza profesora.

W centrze zupełnie nowym kurs rozpoczyna się wstępnym wykładem, zorganizowaniem klasy, przedstawieniem metody nauczania i jej korzyści. Lekcje odbywają się co tydzień lub co dni 4, zwykły kurs obejmuje 6—12 lekcji. Jak już wzmiankowaliśmy, jednym z charakterstycznych rysów tego systemu nauczania jest drukowane streszczenie wykładu, zawierające: rozbiór wykładu, spis dzieł, traktujących o jego przedmiocie i źródeł, nierzadko cytaty i dane statystyczne. O ile się daje, profesor ilustruje wykłady rysunkami, okazami i t. p. środkami pomocniczemi. Na tem polu latarnia magiczna coraz więcej zyskuje uznania, dzięki łatwości przewozu i innym zaletom. W niektórych wypadkach profesor korzysta z miejscowego muzeum, albo — gdy wykład dotyczy dziedziny muzyki — powołuje do współdziałania miejscowe siły muzyczne.

C. d. n.

Przegląd pism.

»Biblioteka Warszawska«. — Maj 1895.

Ciekawie rozpoczyna omawiany zeszyt »Bibljoteki« jej redaktor, p. Weyssenhoff, drukiem »Pamiętnika ks. Jana Nepomucena Kossakowskiego, biskupa wileńskiego (ur. 1755 um. 1808)«. Szkoda tylko, że p. W. nie wskazuje, w czyjem posiadaniu znajduje się rękopis oraz zapowiada druk ze skróceniami, co, naturalnie, wartość »Pamiętnika«, jako źródła historycznego, uszczuplić może.

J. Kenig kończy swój artykuł o sprawie chińsko-japońskiej, którego całość przedstawia się jako pracowicie zebrany i zręcznie zestawiony zbiór wiadomości o Chinach i Japonji, zaczerpnięty z drugiej ręki, choć niewątpliwie ciekawy. W końcu swego szkicu probuje p. K. utartym zwyczajem stawiać horoskopy co do przyszłych losów Europy na wypadek, jeżeli Chiny z ich 400-miljonową ludnością całkowicie otwarte zostaną dla reszty świata, gdyż, jak słusznie to podnosi p. K., wówczas i owa »reszta świata« dla Chin otworzyć się musi. Ze sfer bardzo poważnych słychać obawy nowego najścia na Europę ludów żółtych, jak to już miało miejsce w XIII w. n. e. pod Dżengishanem, a w XIV. pod Timurem czyli Tamerlanem. Obaj ci tatarscy zaborcy mogli przeprowadzić swe olbrzymie przedsięwzięcie jedynie dla tego, że ciągnęli za sobą miljonowe armje żołnierstwa bitnego i ciągle nowymi zastępami z kraju zasilanego. W tem samem położeniu, co do liczby ludzi znajdują się dzisiejsze Chiny. Chodzić tylko może o rozbudzenie w nich tego samego ducha wojowniczego, który je ożywiał przed kilku wiekami, jak również o reorganizację, w duchu nowoczesnych wymagań, urządzeń wojskowych — do czego ostatnia wojna chińsko-japońska z pewnością znacznie się przyczyni. Autor omawianego artykułu sądzi jednak, że »gdyby nawet podobny najazd był możebny, to najprzód nie dotknąłby on bezpośrednio Europy, lecz jedynie azjatyckich sąsiadów Chin, a przytem mógłby nastąpić tylko po licznych dziesiątkach lat od daty dzisiejszej; zajmować się nim niema więc jeszcze potrzeby...« »Bliższem nieskończenie a niebezpieczniejszem — pisze p. K. dalej — jest spokojne, ekonomiczne najście rasy żółtej na Europę i Amerykę. Walka ta, staczana przez konkurencję handlową i przemysłową, już się zaczęła, a te początki nic dobrego Europie nie wróżą«. Przytacza autor znany fakt walki z kulisami Amerykanów i Australczyków, którzy w końcu wrota swego domu szczelnie przed emigracją chińską zamknęli. Obok tego znajdujemy u p. K. mniej już znane daty, dotyczące konkurencji, jaką Chińczycy i Japończycy robią Moskalom i innym narodowościom we wschodniej Syberji. Tak n. p. Władywostok liczy 164 firm handlowych, z tych 23 jest rosyjskich, 11 japońskich, 3 niemieckie, a 127 należy do chińczyków... W r. 1891 chińscy kupcy Władywostoku sprowadzili z Japonji, Chin i Korei 7.700 ton towarów... w r. 1893 przywóz ten doszedł do 15.300 ton... W roku 1891 z Odesy wysłano dla nich tylko 46 ton towaru... w r. 1893 zaś 1029 ton... Tak więc za jakie 40 lub 50 lat Europa znaleźć się może wobec zaczynającej już dziś grozić walki ekonomiczno-społecznej z rasą żółtą«.

p.

PRO MEMORIA.

4. czerwca 1817. Zatwierdzony Zakład Bibljoteki Ossolińskich.
6. czerwca 1794. Bitwa pod Szczekocinami (gub. Kielecka), w której polegli jenerałowie: Wodzicki i Grochowski.
6. czerwca 1818. Zmarł w Winnej Górze, majątku własnym, położonym w W. Ks. Poznańskiem Jan Henryk Dąbrowski, generał wojsk polskich, twórca legjonów polskich za Napoleona.
8. czerwca 1794. Gen. Zajączek stoczył niepomyślną bitwę pod Chełmem.
8. czerwca 1863. Walery Wróblewski pobił Moskali nad rzeczką Ścieścieżem.
9. czerwca 1815. Uchwalono na kongresie Wiedeńskim utworzenie Królestwa Polskiego.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.